

## Banknot szczęścia

**D**zień był bardzo wietrzny. Zaczynało drobnym deszczem, ale było dość ciepło, jak na tę porę roku. Świętojańską ciągnął tłum ludzi, bo przyplęły aż trzy statki i do butików rzucili nowy towar. Matki z córkami i synami, zakochani, mężowie, samotnicy i rozwodnicy, całe rodziny ciągnęły, żeby kupić coś wystrzałowego; coś, czego nigdzie indziej nie można było dostać; czego będą zazdrościć inni. Cisnęli się w kolejkach, przepychali, a nierzadko bili, żeby kupić upragniony towar. Pomiędzy tymi ludźmi, niczym postać z innej bajki, chodził młody człowiek. Był zwyczajnie ubrany – znoszona kurtka, wytarte dżinsy i trampki na nogach. Zamiast jednak wypatrywać wystaw zachęcających do zakupów wszystkimi barwami Zachodu, patrzył w niebo, jakby się nad czymś zastanawiał. W pewnym momencie zatrzymał się, schylił i podniósł coś z ziemi. Gdy otworzył dłoń, zobaczył prawie nowy banknot tysięczny. Rozejrzał się, czy ktoś nie szuka zguby, ale przechodnie nie zwracali na niego uwagi, więc włożył banknot do kieszeni i poszedł dalej. Nazywał się Wojtek i był artystą – malarzem.

Następnego dnia poszedł z samego rana na pocztę zapłacić za mieszkanie. Przy okienku okazało się, że brakuje mu pięciuset sześćdziesięciu złotych, więc w panice przejrzał wszystkie kieszenie i znalazł tysiąc złotych. Ulżyło mu, zapłacił i wyszedł. Gdy był już na zewnątrz, kichnął tak potężnie, że mu prawie nos urwało. Sięgnął więc do kieszeni po chusteczkę i znalazł w niej... tysiąc złotych. Zdziwił się, bo raczej nie trzymał pieniędzy w kieszeni, pamiętał też, że wydał je na pocztę.

„Może zapomniałem dać je w okienku?” – pomyślał, ale na pocztę nie wrócił – „Jeszcze mi się przyda ten tysiąc złotych”.

W apogeum epoki Gierka, mimo deklarowanego powszechnego dobrobytu, wieczorami Gdynia była jak wymarła. Świętojańską czy 10 Lutego rzadko przejeżdżał samochód, jednak w „Cyganeerii” zawsze był ruch. Miejscowe środowisko artystyczne zbierało

się w ciasnej knajpce, by choć trochę odpocząć od nudy szarego życia przy lampce wytrawnego wina lub mocniejszego trunku przemycanego statkami. Przy stoliku we wnęce po lewej siedziało dość głośno zachowujące się towarzystwo młodych ludzi, wśród których był też nasz znajomy – Wojtek. Wszyscy już wyraźnie zmęczeni alkoholem trwali jednak nadal przy stoliku, zamawiając kolejne setki. Widać jednak było, że zasoby pieniężne kurczą się w szybkim tempie i jeśli nie zdarzy się cud, to lokal trzeba będzie opuścić. Przeszukiwanie portfeli i kieszeni niewiele dało i już bufetowa spoglądając groźnym okiem zaczęła podchodzić do ich stolika, gdy nagle Wojtek tryumfalnie zawołał:

– Mam! – i wyciągnął z kieszeni spodni tysiąc złotych. – Kolejka dla wszystkich! – wykrzyknął na całą salę. – Ja stawiam!

Tłum rzucił się do baru zamawiać kolejne szklaneczki.

Do trzeciej nad ranem jeszcze trzykrotnie Wojtek sięgał do kieszeni i za każdym razem znajdował w niej banknot tysiączłotowy. Gdy następnego dnia obudził się z potwornym kacem, nic nie pamiętał. Pamięć wróciła mu, gdy zwyczajowo włożył rękę do kieszeni i... znalazł w niej tysiąc złotych.

Od tej pory Wojtek bardzo się zmienił. Zrzucił wytarte łachy biednego studencika Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych i zaczął się stroić na malarza z Montmartre'u. Szastał pieniędzmi na lewo i prawo. Nie uszło to oczywiście uwadze funkcjonariuszy SB. Dwaj smutni panowie pojawili się pewnego jesiennego dnia w jego ciasnym wynajętym pokoiku i bez pardonu zapytali:

– Skąd masz pieniądze?

– Z kieszeni.

– No, no, no! Bez takich mi tu. Skąd masz pieniądze?

– Mówiłem wam – z kieszeni. Mam czarodziejską kieszeń, która produkuje pieniądze.

Esbecy oczywiście nie uwierzyli i zabrali go na komisariat. Jednak po dwóch dniach wypuścili go, bo w żaden sposób nie mogli wykryć źródła jego nieoczekiwanej fortuny. Delikatnie tylko obstawili go swoimi agentami, licząc na to, że kiedyś w końcu „pęknie” i wyjawia źródło swoich dochodów.

Wojtek rzucił się w wir życia. Stał się częstym bywalcem „Maxa” i „Bodegi”; zaczął się rozbijać drogimi samochodami; widywano go z najdroższymi prostytutkami Trójmiasta. Stoczył się na dno – każdy ranek witał go zapitego do nieprzytomności, a każda noc wysłuchiwała jego pijackich pokrzykiwań. Zmienił stancję na mieszkanie na Starowiejskiej, które umeblował z artystowskim przepychem. Żył jak król.

Jedynego czego się nie pozbył, to swoich spodni. Wytarte, poplamione i lepiące się od brudu, trzymał zawsze pod ręką, żeby wyciągać z nich coraz to nowe banknoty. Nie uszło to uwagi śledzących go esbeków. To, co początkowo potraktowali jako głupi żart, okazało się prawdą. Pewnej nocy, tuż nad ranem, gdy Wojtek spał w ramionach kolejnej panienki lekkich obyczajów, agenci wykradli mu spodnie i zniknęli.

Do niedawna jeszcze można było zobaczyć snującego się po Świętojańskiej obdartego żebraka z wzrokiem wbitym w ziemię, jakby czegoś z uporem szukał. To był Wojtek wypatrujący swego szczęśliwego banknotu, który zawsze wracał do swego znalazcy.